

Mateusz

Nigdy nie dowiedziałabym się tego wszystkiego i nie opisałabym dziwnej historii Bogoszów, gdyby nie miłość i przypadek, zjawiska naturalnie ze sobą splątane. Miłość dwojga studentów, trochę dziwna i niedzisiejsza, bo mimo dwudziestego pierwszego wieku, ery komórek i internetu, przypadkiem spotkała ich w najprawdziwszym pałacu. Moja własna miłość do podlaskiej ziemi, starych szpargałów i przeszłości, która wyskakuje z kufrów i ze strychów przypadkiem i kiedy chce. Wreszcie miłość bardzo starego człowieka do wnuczki, do wynalazków, a także do... fotografii. Te odbitki chwil! Podobno nie ma na nich ujęć przypadkowych ani nieudanych, nawet jeśli tak nam się wydaje. Zresztą to, co nam się zdaje...

Zdawało mi się, że o swojej rodzinie napisałam już wszystko i teraz trzeba czekać, aż dorosnie nowe pokolenie. Tymczasem jeszcze raz okazało się, że życie jest nieprzewidywalne, przeszłość tajemna i zawsze coś pozostaje do odkrycia. Jakby minione zdarzenia nie zniknęły, lecz wisały nad nami, gdzieś we mgle i w mroku, i tylko czekały na iskrę, która ściągnie je w dół, do światła teraźniejszości. Na mgłę podlaską należy szczególnie uważać, zwłaszcza w jesienne wieczory. Moment, głupstwo, drobna myśl — i zaczyna się dziać... Tak było i tym razem w Stokowie nad Narwią. Bieg wypadków uruchomił dwudziestoletni Mateusz, adoptowany syn mojej kuzynki Michaliny Wierzchoń. Skąd wziął się w wiosce małej jak Bullerbyn, gdzie kilka kolorowych domków obsiada drogę równoległą do rzeki? Jak zwykle: na skutek przypadku, który umyka uwadze historyków, ale ma siłę semafora, przestawia ludzki los na inny tor.

Otóż pewnego dnia przed laty w Rajgrodzie, urokliwym podlaskim miasteczku, jakiś pijany kierowca pomylił drogi. Wcale nie

zamierzał jechać przez Rajgród. Zirytowany deszczem i otumaniony mgłą, zawrócił z piskiem opon, jechał zbyt szybko, wypadł z zakrętu i potracił kobietę przechodzącą przez jezdnię do sklepu. Nie udało się jej uratować. Lokalne gazety poświęciły zdarzeniu wzmiankę, tragedia na chwilę wstrząsnęła mieszkańcami, potem miasteczko wróciło do codzienności i po paru latach nikt nie pamiętał, czemu za przejściem dla pieszych, przy sklepie spożywczym stoi krzyż i bukiety wyblakłych sztucznych kwiatów. Jednak wypadek zmienił całkowicie życie co najmniej trzech osób. Ofiarą śmiertelną była niejaka Jolanta Wierzchoń, siostra doktora Tomasza Wierzchonia, drugiego męża mojej kuzynki Michaliny. Jola samotnie wychowywała dziecko, osierociła ośmioletniego synka, który potrzebował teraz rodziny zastępczej. Miśka i Tomasz nie wahali się nawet minuty — i tak Mateusz zamieszkał z nimi w Stokowie, w brązowym domu na skraju wsi, prawie pod lasem. Kuzynka Misia wybudowała ten dom w latach dziewięćdziesiątych, gdy wróciła do kraju z pierwszym mężem. Mimo upływu lat wciąż ładna, rudowłosa, obdarowana genem wiecznej młodości, włóczy się po łąkach ze sztalugami, umazana farbami i wiecznie zakochana. Miłością jej życia jest drugi mąż Tomasz — i adoptowany syn Mateusz. Ma i trzecią miłość: obrazy, bo chociaż Miśka z zawodu jest niepraktykującym stomatologiem, z zamiłowania jest artystką. A jednak gdy los oddał jej na wychowanie siostrzeńca męża, z chęcią odsunęła pasję malarską na drugi plan. Stała się matką kochającą i uważną, pewnie bardziej lękliwą i nadopiekuńczą niż matka prawdziwa. Być może ta miłość miała zabić starą ranę, tęsknotę, która całe życie tkwiła w sercu Michaliny jak zadra, ból złej decyzji i niepotrzebnej straty. Mateusz nie potrzebował znać przeszłości, znalazł u stryjostwa dom i miłość, ale dorósł i zapragnął spróbować własnych sił gdzieś w świecie, który podobno istniał poza Stokowem. Takim momentem próby w życiu młodych ludzi zwykle okazuje się podjęcie studiów. Na szczęście postanowił studiować niezbyt daleko, w Białymstoku, i często przyjeżdżał do domu.

Ja w tym czasie zamieszkałam na dobre w Stokowie, w ukochanym Domu Janki, czyli w domku jednorodzinnym po rodzicach. Prócz ścian miodem smarowanych zaznałam jego mankamentów: myszy w spiżarni, błota na podjeździe i dymiącego, złośliwego pieca. Pewnego grudniowego dnia, rano, kiedy usiłowałam rozpalić w brzuchu złośliwca dobroczynny płomień, przez okienko kotłowni przedostał się hałas. Silnik auta, potem znajomy szcęk zardzewiałej bramy. Goście byli ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzyła w tej chwili, bez względu na podlaską gościnność czy słynną wschodnią otwartość ramion i bram. Rozpalałam w piecu! Szpargałam, żałownie nieaktualnymi pierwszymi stronicami starych gazet, zeszytami szkolnymi córek, pustymi kopertami. Myślałam: jak smętny jest los opakowań, jak nietrwała młodość twarzy z okładek! Płomień nie chciał objąć niczego, bez względu na rangę, nie chciał pożreć ani sławy, ani notatek z filozofii. Musiałam przy tym wyglądać jak czarownica. Czarne ręce, smugi sadzy na twarzy i na byle jak zawiązanej na włosach chustce nie wskazywały na szlachetne, pisarskie zajęcie. A właśnie zamierzałam całe przedpołudnie poświęcić następnej książce, już współczesnej, bez grzebania w przeszłości rodzin. Dźwięk bramy jednakże niweczył te plany i oznaczał, że ktoś wjechał na posesję. Kto?

Mój mąż przebywał daleko i miał wrócić za tydzień. Nie mógł być to nikt z rodziny, bo wszyscy akurat byli w pracy. Nikt ze wsi, nikt z Warszawy, nikt z moich dawnych współpracowników, uczniów, ludzi z przeszłości nie wjechałby tak przez zieloną bramę ze starym napisem „Złe psy” (choć moje psy są dobre, a napis nieaktualny jak przedwyborcze hasła). Nikt z zaginionych członków rodziny, nikt z powracających z emigracji nie ośmieliłby się sam wejść przez ogród na taras. I te dobre psy — ogony szaleją ze szczęścia, co oznacza, że to ktoś bardzo znajomy.

Młody mężczyzna, chłopak jeszcze, przytupujący na tarasie, wtargnął w mój pracowity jesienny dzień. Oczywiście, że musiał to być

Mateusz Wierzchoń, tylko on znał bramę, wjazd i psy. Płatki pierwszego śniegu osiadały mu na jasnych włosach, wniósł zapach wiatru z podwórka, psy obskakiwały go z radością i bałam się o jego musztardowy kożuszek, który pachniał zimą i dodawał chłopakowi uroku. Tak samo jak czupryna bez czapki, o czym Mateusz doskonale wiedział.

— Halo, to ja! — Wysoki, wyższy niż Tomasz, pochylił się i uściłskął mnie mimo sady. Zdążyłam dostrzec niepokój w jego oczach.

— Ciocia wie pewnie, gdzie się podzieli. Dom zamknięty, brama na trzy spusty... Pojechali gdzieś? Miśka i Tomek?

Mateusz rzadko używał słowa „rodzice”. Słusznie, skoro jego prawdziwa matka nie żyła, a ojca nie znał. Michalina nie nalegała, mogła być dla niego Misią. Kiedy już otarła łzy, zrozumiała, że narzeczcie ma dziecko, syna, bez względu na to, jak tragiczny wypadek do tego doprowadził i jak chłopiec będzie ją nazywał. Napracowała się nad nim, bo po tragedii zamknął się w sobie i upłynęło sporo czasu, nim zaczął od nowa ufać światu. Miała zresztą dwóch rannych, bo jej mąż, Tomasz, długo nie mógł pogodzić się ze śmiercią trzydziestopięcioletniej siostry, która zwyczajnie wyszła z domu do sklepu i znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Michalina, kochająca i cierpliwa, ocaliła rodzinę, uspokoiła męża i przybranego syna. Sama zwariowała nieco na punkcie ich zdrowia i bezpieczeństwa, nie wymogła jednak pełnego poddaństwa i Mateusz nigdy czapki nie nosił, a Tomasz nie dał sobie wybić z głowy miłości do szybkich samochodów. Martwiła się, że chłopiec zbyt powoli rośnie, bo długo nie mógł przekroczyć magicznego metra pięćdziesiąt, chociaż wszyscy pocieszali ją, że ma czas, a i lekarze obiecywali, że w końcu urośnie. No i urosł, nawet bardzo, wysoki, pewny siebie, lecz nie zarozumiały. Choć pełna uwielbienia miłość Miśki łatwo mogła go zepsuć, wyrósł na wartościowego młodego człowieka. Dostał się na studia medyczne, by zostać lekarzem, podobnie jak przybrani rodzice. A teraz stał przede mną zdumiony,

że nie zastał Michaliny i Tomka w domu, kiedy udało mu się wcześniej wyrwać po zdaniu egzaminów. Poza kolorem włosów i wzrostem był uderzająco podobny do Tomasza, z oczu i uśmiechu, co zresztą niedziwne — do rodzzonego brata matki.

— I nie odbierają komórek — mówił Mateusz szybko — nie wiem, powyrzucali czy co? Miśka to rozumiem, nie lubi telefonu, ale Tomasz? Nie rozstaje się z komórką, facet jest w stałym kontakcie z kliniką i ze szpitalem...

— Pojechali na trzy dni do Druskiennik. — Wciągnęłam gościa do środka i zamknęłam czym prędzej drzwi, bo wiało od łąk, a ja paliłam w piecu. — Pewnie moczą się w termach, więc nie ma mowy o komórkach. Odbiorą i oddzwonią, spokojnie. A co ty tak wcześniej? Sam sobie jesteś winien, miałeś być za dwa tygodnie...

Mateusz odetchnął. Pamiętał dobrze śmierć matki i mimo że minęło dwanaście lat, prześladowały go lęki. Pokochał swoich zastępczych rodziców i bał się o nich: widział ich już zaczadzonych, zgniecionych pod blachami auta w wypadku albo zaginionych bez śladu. Kolejnych, których utracił. Tymczasem po prostu pojechali do Druskiennik. Na trzy dni, od nas tylko kilka godzin.

— Najprostsze rozwiązania przychodzą do głowy ostatnie, Mateuszu — rzekłam filozoficznie — a dzieje się tak przez to, że godzinami oglądamy filmy sensacyjne, rozmaite dreszczowce, no i potem życie jest za nudne... Miśka nie chciała zawracać ci tym głowy w czasie sesji. Zostaniesz u mnie, aż wrócą?

Odetchnął i podziękował. Wolał swój dom, klucze miałam, jak zawsze, gdy wyjeżdżali.

— Czekaj, czekaj — powiedziałam, gdy chciał iść. — Ty też musisz rozpaść w piecu. Dam ci trochę szpargałów na rozpałkę.

Miałam na myśli wnętrze starego, szarego pudła, które niedawno ujawniło się w kącie kotłowni. Zeszliśmy do czeluści podziemi. Oto i pudło. Mateusz dziarsko je podniósł, a ono złośliwie rozsypało się w rękach, ujawniając niezwykłą zawartość. Patrzył z ciekawością, podobnie jak ja, na stos rozsypanych na ziemi skarbów.